

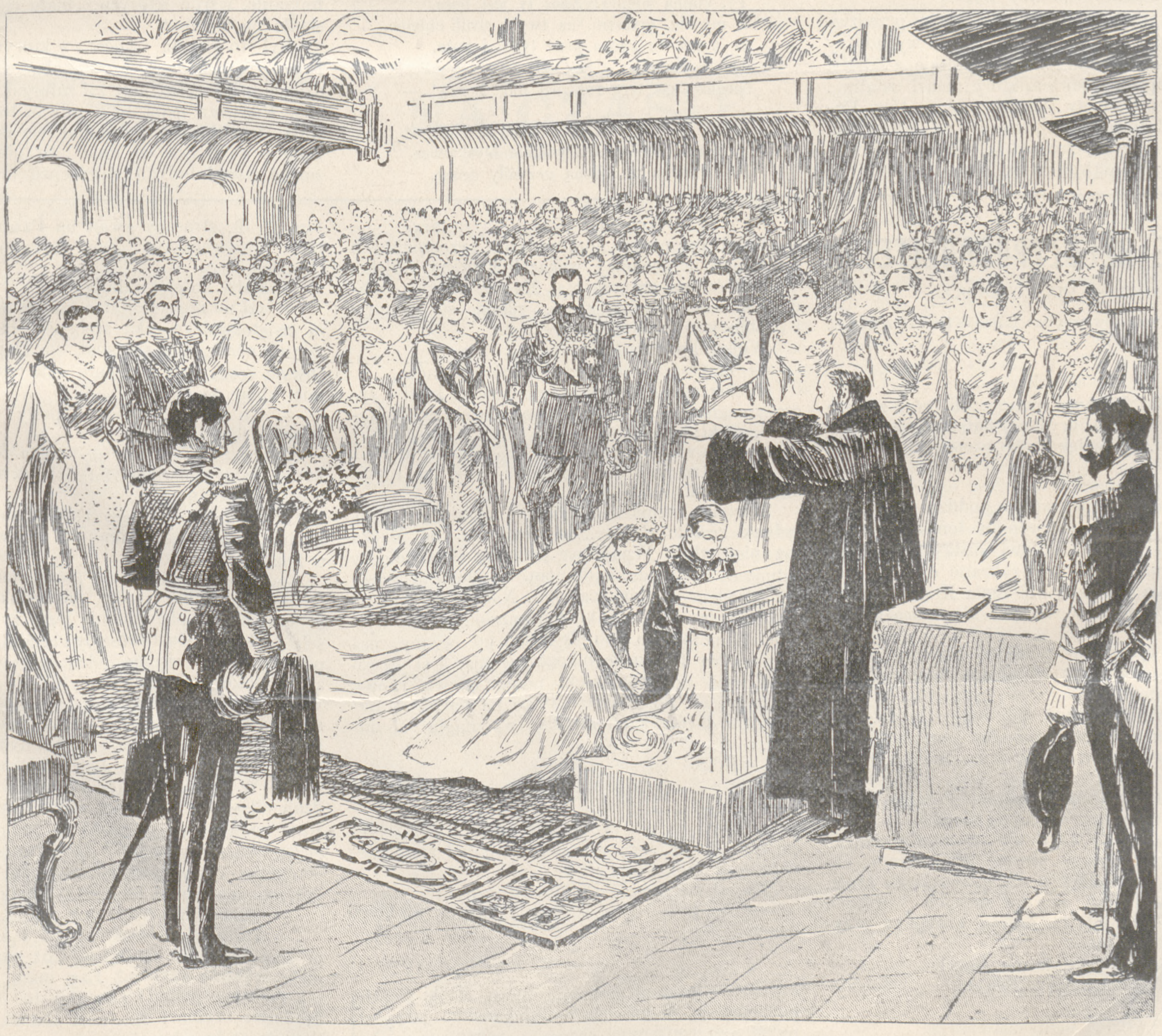
Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie **8** koron, półrocznie **4** korony, kwartalnie **2** korony.

Redaktor kierujący: **KAZ. EHRENBERG.** Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: **WITOLD NOSKOWSKI**

Nr. 8. Kraków, dnia 24. lutego. 1901.

Uroczystości weselne w Hadze.



Królowa Wilhelmina i ks. Henryk Meklenburski przed ślubnym ołtarzem.

Epopeja tęsknicy.

O utęsknienie, o ty duszny głodzie,
Którego cudzym nie utłumić chlebem! —
Żaglu, co nosisz obłądane łodzie,
Oceanowych dróg pienistym żlebem!
Wietrze, wiejący ku miłej zagrodzie,
Na każdą chwilę i pod każdem niebem!
O bystre skrzydło, na którem się ptaki
Ku gniazdom niosą przez śródniebne szlaki!

Tyś to nam było gościńcem i drogą,
Którą się nasza rzuciła gromada
W świat, niedeptany jeszcze ludzką nogą.
Gdzie nic, po swemu, do człeka nie gada,
Gdzie nijak, o nic nie pytać u kogo...
Tyś to nas, jak te żórawiane stada,
W powrót poniosła, pod zorzy obłękiem
Obwołujących się żórawim jękiem!

Tymi słowy zaczyna Marya Konopnicka trzecią część swojego poematu, p. t. „Pan Balcer w Brazylii“.

Z niegościnnej, „zawodnej“ ziemi polskiej wyszła w kraj daleki, hen, za oceany, garść chłopów. Po długich mękach, po szamotaniu się z potęgą dziewiczej natury brazylijskiej, z biedą, złością ludzką i z tęsknicą, ulegli wreszcie wychodźcy tej ostatniej i — wracają do rodzinnego kraju, złożyć kości na cmentarzu wioskowym, „gdzie szepcą brzozy i rosi noc gwiezdna“. Historya tego powrotu, straszna i bolesna, a przecież ukajająca duszę obrazem niezmiernego przywiązania chłopów polskich do ojczystej ziemi — zawiera się w trzeciej części „Pana Balcera“, zatytułowanej „Powrót“, a umieszczonej przez znakomitą poetkę przed niedawnym czasem w „Bibliotece Warszawskiej“.

„Huk ludu ciągło na owe wyraje“, po lepszą dolę za morzem, „a teraz wraca co piąty co trzeci“, ale z siłą rozpaczy w sercu, i z potężną wolą dojścia do upragnionego celu. Ta iście chłopska zaciętość w walce z przyrodą, wzbraniającą przejścia garstce emigrantów, znalazła w przepysznych oktawach poematu wspaniały wyraz.

Pierwsze dwa dni upłynęły na przedzieraniu się „skroś borów“: trzeciego dnia wychodźcy napotkali na — cmentarz kolonii polskiej z 1894 r. Pośrodku mogiłek leżał ten, który zmarł ostatni... Zgroza i żal owładnęły sercami emigrantów. Pogrzebali „ostatniego karbowego“ co nacięciami siekiery na krzyżu znaczył „pomarłe głowy“ i — poszli dalej, dążąc ku skrajom lasu.

Nareszcie doszli.

W szerokich liniach paliła się zorza,
Gdyśmy na borów stanęli rubieży,
Już obróceni na wschód i do morza,
Za którem, każdy wiedział, chata leży —
Za nami puszczy głębokie bezdroża,
Przed nami — wzrokiem jak tylko zamierzy,
Step, skroś sinego ginący obłoku,
A nas garść, ledwo widna Boga oku.

Cudownie opisuje teraz poetka tajemny czar puszczy.

Chwilę stał naród, bo wszystkim się zdało,
Że jakieś głosy biją ku nam z borów.
Więc ten, to owy obróci się mało,
Zalśnie od owych jarzących kolorów,
Któremi nizkie słońce pnie dzierzgało
Piniów, bananów, palmów, sykomorów,
Czyniąc z nich, przez swą sprawę i robotę,
Na czarnej harfie puszczy — struny złote.

A choć tam w koło cichość była głucha,
Wyraźniem słyszał, jak na struny one
Kładą się ręce wichrowego ducha,
Co ma złociste szaty i czerwone.
Trącił, i oto pieśń puszczy wybucha
W jakąś strzelistych głosów antyfonę.
Drzewa dostają skrzydeł, chwieją pióry,
I stoją w ogniach, jak Serafów chóry...

Zawiele jednak przecierpiały dusze tych polskich chłopów, by odczuć tajemny urok tej „puszczy — dziwożony“. Daremnie kusiła ich egzotyczna przyroda, „tajemną cudność ukazawszy łona“.

...Pietr Bugaj klęknął, odkrył głowę,
Grzmotnął się pięścią jakby na spowiedzi,
A wznióslszy lice wychudłe, surowe,
Ciemne od dusznej i głodowej śniedzi,
Wziął przygarść ziemi, co pod zorze owe
Tak czerwieniała, jakby ruda miedzi,
I pierś zaklęsłą wzdąwszy, by dech złapać,
Ścisnął. Przez palce krew zdała się kapać.

A ów: — Niechże nas Bóg rozsądzi w niebie,
Nas, co my tutaj przyciągli z za morza
W obiecowany kraj ten, i zaś ciebie,
Ty, cudna ziemio! Aboś ty jest boża,
A my się, grzeszni, na twym struli chlebie,
Że z nas tu sucha kość tylko i koża,
Abo my prawi, a tyś jest — czartowska!
Niechże nas tera rozsądzi moc boska! —

Rzekł, i podany w zórz jasną sręzogę,
Trząsł garścią, a lez wielkie błyskawice
Przez twarz mu jasną uczyniły drogę,
Jak przez gromową chmurę. Tą prawicę
Ściśniętą, widzę do dziś, i nie mogę
Zbyć z myśli, w jakiej to wzniesione lice,
Drgające każdą żyłką, było męce,
Gdy ten chłop tak tę ziemię ściskał w ręce.

Szczypta to była marna tego, ale
Kto wie, od czego wzlecą, albo spadną
One nad światem uwieszone szale,
Gdzie ziarno piasku czasem ciągnie na dno.
Lecz ów na boskim jakby trybunale
W zapamiętaniu, klęcząc, mocą żadną
Ocknąć się nie dał, choć Kos go, jak umie,
Tak cieszy: — „Co ta... Co ta już, mój kumie!...“

I twardy kułak podnosząc do oczu,
Chlipał, a wielkie wąsiska mu drgały...
Ale Horodziej, co stał na uboczu,
W siwiznie swojej, jak ten gołąb biały,
Powiódł rękoma po onem przeźroczu
Powietrznem, w którem jeszcze łuny grały,
I głosem cichym, sam jakby do siebie
Mówił, spojrzenie utapiając w niebie:

„W boskim to widać stało dekretarzu,
Byśmy w tych borów puścili się bezdna!
Paś-że nas tera, Ty dobry Owczarzu,
Iż nam tu droga ni piesza, ni jezdna,
A daj kość złożyć na onym cmentarzu,
Gdzie szepcą brzozy i rosi noc gwiezdna,
Ty, co szlakujesz, gdzie owca zapłacze
Z ciernia, i jagnię piastujesz tułacze,

Paś-że nas tera!“

. . . .

A w koło, jak wodna
Roztocz, step siniał po nieba krawędzie.
Trawy — w pas, idziesz niemi jakby do dna
Ów nurek, co go trzymają na wędzie.
Gdzie spojrzysz, głębia zieleni bezbrodna,
Że jak na morzu, ptak tam nie usiędzie
Wędrowny, tylko na bujach rozpięty,
Pod błękitemi zawisa odmęty.

Po czterodniowej podróży przez stepy, natknięto się na stado bawołów. Na huk strzału, danego przez jednego z wychodźców zjawili się Indyanie, wśród których „białe chłopiątko przysiadło na ziemi...“

Był to sierota. „Ojce“, z którymi przybył do Brazylii — pomarli, więc znalazł się sam, wśród dzikich ludzi. Straszliwy żal zatargał piersią chłopską. Pierwsza myśl była zabrać tego biedaka ze sobą, lecz Jantek wzbraniał się iść, mówiąc, że „zimno go trzęsie co dnia“, że nie ujdzie i woli zostać wśród Indyan. Sprzeciwił mu się wszakże

---

[3] MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

(Ciąg dalszy).

— Izby dla Ichmość panów oficerów zawsze gotowe w zamku, rajtarya zakwateruje się w szopach żupnych. Na chlebie dla waszej miłości nie zbraknie.

— Pieniądze macie?

— My biedni, choć wierni poddani jego królewskiej mości. W październiku łońskiego roku oddaliśmy się królowi Karolowi Gustawowi w opiekę, a nasz miejski dobytek zabrano do jego wojennej kasy na potrzebę oblężenia Krakowa.

— Wiem, że nic w waszych skarbnicach wtedy nie było!

— Mało było, Wasza miłość. My mieszczanie biedni, nie mamy nic, fundusze żupy zabrały wojska koronne...

— Ten łyk, wrzasnął Wojszbiłło, łże jak pies. Schowały chamy pieniądze. Na ogniu inaczej będziesz śpiewać wodzikobyłko. Macie wy tu tortury?

— O mamy waszmość panie! Przygrzewamy wszystkich krzywoprzysięzców i złodziei...

— Przypatrz się JWPanie obersterlajtnancie, jak się temu kołtunowi zielono oczy wiecą. On udaje pokorę i rewerencyą dla szwedzkiego króla. Żeby miał siły, onby was na suchych wierzbach wywieszał. Shardziała ta hołota, obsypana przywilejami Jagiellonów.

— Jagiellonom wiernieśmy służyli.

— Worki i żelazne skrzynie pochowane w ziemi.

— Wolno szukać panie rotmistrzu.

— Przecież w kościółkach są święte naczynia?

— Mało. Jegomość król szwedzki raczył już skarbce nasze zwiedzać.

— Poszukamy sami.

— Sam waszej miłości drogę wszędzie wskażę.

— Ile tu jest kościołów?

— Pięć, ale w trzech tylko odprawia się służba boża.

— Z koni! krzyknął Klisser na rajtaryę.

Wnet burmistrz poprowadził przedniejszych na zamek, a pachołcy wskazali kwatery wojsku.

Pod ścianą ratusza stał Maciek Sroka, czeladnik kunsztu blacharskiego, pilnie się rajtaryi i osobliwym zbrojom przypatrując.

Wojszbiłło zsiadł z konia.

— Trzymaj uzdeczkę, zawołał na Maćka.

Maciek zacisnął pięście, zmarszczył brwi i syczącym głosem, w którym się wściekłość kotłowała, rzekł:

— Jam nie sługa twój, zdrajco własnej krwie...

Rotmistrz porwał za obuszek, aby łeb rozbić zuchwalcowi.

Wielkim rozmachem uderzył na niego żelazo, jednak zrobiło dziurę... w powietrzu, bo Maćka już nie było. Wpadł we framugę ślepą między ratuszem a sąsiednim domem, a szlachcic pogonił z pędem wielkim za nim. Nie ujdzie mu, bo z ciasnej framugi, zamkniętej murem, niema wyjścia. W półmroku dziuply ściga go oczami, patrzy... a we framudze nikogo nie ma. Jest kawałek rynny, potem daszek, potem znowu rynna. I nic więcej. Po blachach tylko na dachu kamienicy, po dachówkach ratusza coś znagła załomotało...

— Gdzież on się podział?

Patrzy Wojszbiłło na dół, na górę niema nigdzie nic.

— Do góry po rynnie nie wyleciał, w ziemię się nie zapadł. Jezu miłosierny, djabeł snać zjawił się w ludzkiej postaci.

Zaczął się żegnać IMPan rotmistrz:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen.

* * *

Słynie łaskami cudowny obraz Matki Boskiej bocheńskiej. W kościele dominikańskim jarzą się przed nim codziennie świece, a zgromadzony lud wierny śpiewa na klęczkach pieśń nauczoną przez dziadów i pradziadów.

Boga rodzico dziewico
Bogiem sławiona Marya
U Twego syna gospodyna
Matko zwolena Marya.

Dziś przed drzwiami kościoła stoi knecht z halabardą, nikomu wejść nie pozwalając. Dzieje się tam gwałt, straszny gwałt na Panu Bogu, na Jemu poświęconych, Jego łaskami uświęconym obrazie.

Szwedzi kościół rabują.

Wlazł na menzę ołtarza kornet oficerski i zdziera świętokradzką ręką srebrne wota, zawieszone sznury pereł. Zna się snać na klejnotach, bo co chwyci ręką, to w mgnieniu oka rzuca tem na ziemię, klnąc ze złością

— To blacha! Fałszywe perły! Czeskie szkło! Rzeszowskie złoto!

Przecież udało mu się dostać kilka sznurów korali, jedną zausznicę złotą i kilka serc srebrnych, grubo pozłacanych.

U marmurowych wrót kaplicy stoi trzech zbrojnych z podgolonemi łbami, z krzywemi szablami u boku.

— Boję się waszmość panie, pomsty Bożej!

— To trudno mości poruczniku! Mówił mi generał Horn, plenipotent jego królewskiej mości, że Karol Gustaw, gdy legalnie i pewnie na polskim tronie siędzie, odda wszystko, co zabrał z kościołów. To trudno, inaczej być nie może w tej imprezie. Potrzeba pieniędzy na wojnę dla zrzucenia tyrana, dążącego do absolutum dominium. Rzeczpospolita polska obrony i pomocy woła.

— Ojcowie nasi czołem przed ołtarzem bili.

— W potrzebach Rzeczypospolitej nie oszczędzali ołtarzów. Lat temu sześć złupiono ze Lwowa i lwowskich kościołów za milion trzysta tysięcy sreber, pieniędzy i kosztowności. Uczynili to Jeremiasz Wiśniowiecki i Hieronim Radziejowski, potrzebując grosza na nowy zaciąg żołnierza...

— Zaciąg ten nigdy nie stanął, a pieniądze...

— Utonęły w kieszeniach... i sejm elekcyjny próżno się o nie upominał. Cóż nam więc Waszmość wyrzuty czynisz? Czy mam dawać exempla rzeczypospolitej? Czy my to zresztą świętokradztwo czynim? Nie, nasi alianci. Oni też przed Bogiem za to odpowiedzą.

Kornet, opuszczając z żołnierzami obrabowaną kaplicę, potknął się na burmistrzu bocheńskim, który krzyżem leżał, rzewnemi łzami płacząc. Usta jego łkały i bolesnym jękiem szeptały: O Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza! Pocieszycielko nasza! (C. d. n.)

Zatrata i, wziąwszy chłopaka na ręce, ruszył dalej, przewodząc smętnej karawanie.

Kilka dni ciągnął się ów bezludny, pusty i coraz to dzikszy step. Wreszcie „świat spiętrzył się“, góry olbrzymie zastawiły sobą drogę.

Tu miała być najcięższa przeprawa dla znękanej gromadki. Siłą rozpaczy darli się przez słońcem rozpalone skały, aż wreszcie „padły pierwsze trupy“.

Nasamprzód opuścił swych wybawicieli Jantek sierota, niesiony przez Zatratę. Po nim zagarnęła śmierć Szczęśniaka. Szukając drogi w skałach, spadł ze stromego zbocza i zginął na miejscu. To odebrało biedakom resztę otuchy. Najodważniejsi nawet położyli się na ziemi, czekając rychło li śmierć położy koniec mękom.

Z tego rozpacznego zmeczulenia wyrwała towarzyszy Marychna Dudkowa. Widząc, iż mąż jej stracił wszelką otuchę, sama poczęła iść naprzód, mówiąc, że nie chce gubić swego dziecięcia. Odwaga jej poruszyła innych i — bolesny pochód pociągnął się w dalszą drogę.

Aż wreszcie, po trzech dniach ujrzano „wolne ziemie“ i „olbrzymią rzekę, co w wielkich błyskach do morza ucieka“.

Na ten widok nowa otucha wstąpiła w stroskane serca. W jednej chwili zapomniano o mękach głodu i pragnienia, o wszystkich okropnościach dotychczasowej pielgrzymki. „Serca podniosły się, jak ptaki, bystremi pióry lecące na wolę“ i poczęto zdążać ku owej rzece, „jakby za rzeką zaraz — chata była“.

Ale Konopnicka nie kończy trzeciej trzęści swego poematu tym hucznym akordem radości. Nie wszystkim z bohaterów „Pana Balcera“, co w powrotnej wędrówce dotarli aż do morza, dano jest ujrzeć ziemię ojczystą. Cudowny opis śmierci Horodzieja, zamykający trzecią część tej epopei tęsknicy, wart jest by go powtórzyć w całości; nigdy jeszcze Konopnicka nie wzniosła się na takie wyżyny prawdziwej poezyi, nigdy jeszcze nie udało się jej tak rzewnie i potężnie zarazem przemówić do czytelnika, jak w tym wzniosłym swoją prostotą ustępie.

Przed ukazaniem się rzeki na horyzoncie, wychodźcy, znużeni borykaniem się z męczarniami podróży, wzywali śmierci. Stanąwszy wreszcie u szczytu gór, nabrali nowych sił do dalszej pielgrzymki, lecz

......nikt nie wiedział, że ona wołana
Zbyt głośno przez nas śmierć, tuż w pobok kroczy,
I że w tych wielkich światłach, już od rana
Wytrzeszcza na nas swoje ślepe oczy...
A nikt nie wiedział, że w suche kolana
Chrzęści, schodząca z tej skalnej uboczy.
I że te żwiry, co toczą się drogą,
Lecą i brzęczą, trącone jej nogą.

Jeden Horodziej zaczuł coś, więc skinie,
Rzekąc mi zcicha: — „Mój panie Balcerze,
Postójcie mało, bo jakoś mi ninie
Słabo... Nie zdolę tak z wami iść w mierze
Dalej“. — Tak spojrzę, a jemu zapłynie
Lico mgłą jakby, i już na się bierze
Zmierzch wieczny... Chcę coś rzec, dodać pociechy,
Lecz mi się tylko zatrzęsły te miechy.

Tak krzyknę: — „Stać tam“! — Odwrócą się głowy.
A on, bieluśki, jak w kwiecie ta grusza,
Wzniósł ręce, modli się niememi słowy,
Jakiś wiatr górny włos siwy mu rusza.
Ciśnie się naród, gwar ustał i mowy,
Jakby w kościele, zrobiła się głusza...
Ale Horodziej oczy trzymał w górę,
Westchnieniem wzbity nad własną naturę.

Zaś rzekł: — „Toć zdawna już na ręku noszę,
Jako gołębia siwego, tę duszę,
I zdawna jej się, by leciała, proszę...
A ot i bije w pióra... Ot i tuszę,
Iż jej się ziemia namyka potrosze,
I cały jestem w lotu zawieruszę...
I pełne piersi mam wielkiej jasności,
I zamiast szpiku, światło czuję w kości...

Tak wy już idźcie przepławiać to morze,
Aby do chaty prędzej i do domu!
A ja już słyszę pukanie to Boże,
Cichuchne, ano huczniejsze od gromu.
Toćże zaszczepki nie przyrwę w komorze,
Gdy mnie Pan Jezus zawoła do promu...
Bo oczy moje za śmierci obliczem
Są utęsknione... A więcej — za niczem“.

. . . .

Westchnął: — „Ot może chciał-bym z tego granu
Widzieć, jak lud się dobije do końca..,
Ale i to tam do woli już Panu!..
Niechże was Chrystus prowadzi obrońca,
Bo ja już tego nie przebrnę Jordanu...
Już mi czas!“. — Stał tak, patrzący do słońca,
Które z gwałtowną wzbijało się siłą...
Chłopy odkryły głowę. Cicho było.

Aż on: — „Łzy wszystkiem wysiał już, jak rosy,
Deszcz mnie polewał, by podolną trawę,
I byłem tułacz, i głodny, i bosy,
I jak pelikan, pierze miałem krwawe...
Dość ze mnie!“. — Zamilkł. Nagle przez niebiosy
Szeroko spojrzał, sprostował postawę.
— „Dzwony! — zakrzyknął — Dzwony z Jasnej Góry
Biją!.. Na Alleluja biją w chmury“.

Więc się rzucili ludzie na kolana,
Jak w podniesienie... Słuchamy tej ciszy...
Pękła nad nami dalekość ta szklana,
Każdy-by przysiągł z nas, że dzwony słyszy.
Biją! Jako na hejnał biją zrana!...
Przymknione oczy, wysoko pierś dyszy,
Ni łzy, ni głosu, a tylko w nas była
Moc zachwycenia — aż w niebo, i siła.

Ale Horodziej drżał, jak łabędź biały,
Gdy srebrne puchy rozpuści na wietrze,
A jakieś wielkie światła po nim wiały,
I wielkie mroki, jak gdy dzień się zetrze
Z nocą... Już tchy w nim słabły, ugasały,
Lico się bledsze czyniło, a bledsze,
Aż mi się w ręce mdlejący potoczy,
A śmierć lekuchno zdmuchnęła mu oczy.

. . . .

W głęboką wnękę, pod wysokim graniem,
Ciało my wyschłe złożyli ku zorzy,
I wielki kamień zatoczyli na niem.
— Śpij-że tu sobie cicho kmieciu Boży,
Aż ci jakowemś ogromnem świtaniem
Anioł w lnach białych przyjdzie i otworzy
Ten grób, który jest jako Chrystusowy,
Bo też we skale, i chłopu też nowy.

A nas już wody wołają szumiące
Tej wielkiej rzeki, co ucieka w morze,
I to, które jak ptak wzlatuje, słońce...
Już lecim... Pod te krwawe lecim zorze,
Bociany błędne, do gniazd wracające,
Już nas porywa wichr, co po ugorze
Polnym gdzieś świszcze przez puste zagony:
— „A ty tu ostań z Bogiem! Pochwalony!“

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

Jeden z przyjaciół naszego pisma nadsyła nam następujących słów parę:

Szanowna Redakcyo! Jak gdy odzywa się dzwonek telefonu dźwięcznie i donośnie, a na jego odezwanie się, zawsze ktoś z członków Redakcyi pospieszy, aby zapytać kto dzwoni i czego żąda, tak niech u progu Redakcyi stanie od czasu do czasu ktoś z czytelników pisma i dorzuci parę nowych myśli, spostrzeżeń i uwag o tem — czem jest brak pracy wśród najuboższych warstw i w jaki sposób należy przyjść nędzarzom z pomocą.

Zapewne — powie niejeden z czytelników pisma, iż aż nadto ma tych przypominań o nędzy, a nic na to nie może poradzić. Inni zaś rzekną: gdy zechcemy o tem pisać — całe szpalty dziennika zajmiemy.

Owszem!... Więcej nas będą zajmowały wieści o najbliższych i najuboższych, aniżeli nowiny z dalekich stron. Nędza jest straszną rzeczą i chociaż widok jej rani oczy i uczucia przeraża, przecież należy nam o niej przypominać...

Patent na miłosierdzie i wykazywanie biedy robotników, wzięła sobie partya tych opiekunów ludu, którzy są jak najdalej od miłosierdzia prawdziwego. Oni też wyśmiewają z największem szyderstwem każde odezwanie się o biedzie robotników lub ludu wiejskiego, sądząc, iż w ten sposób zniweczą nić jakiejkolwiek sympatyi między tymi ludźmi, a resztą społeczeństwa.

Właśnie dla tego godzi się sprawę ubóstwa i braku pracy przed oczy szerszych warstw stawiać...

O biedzie tych i owych słyszy się u nas pobieżnie rzucane wieści: Jedni posłuchają — kiwną głową i dalej bawią się. Inni — rzekną, że na to nie ma rady. Są tacy, co boleją, ale nie myślą o czemś więcej.

A nędza żre i pali — ssie i gnębi...

Zostawmy miasto. Przejdźmy po za rogatki. Wstąpmy do szynku tego i tamtego — spytajmy ile poduszek już zastawiono, ile »przyodziewy« przyniesiono do żyda, ile not i notatek »na burg« żyd ma u siebie...

Setki murarzy i ich rodzin, czeka na przyjście wiosny, a do niej jeszcze daleko. Gdyby był śnieg — powiadają biedni — jakotako zarobiłby człek, z kolei lub magistratu, przy wywożeniu śniegu, ale nadaremnie. Lód zwieziono już dawno po lodowniach — słomianek już teraz nikt prawie nie chce kupować, a mróz ciśnie, ze ścian wilgoć łzami spływa i wygłodzone dzieci jeść płaczą.

Czyż nie pomyśli nikt, aby dać pracę tym ludziom?..

Jeśli nie można stworzyć jakiegoś źródła dla zatrudnienia tych ludzi — czyżby nie można znaleźć miejsca, któreby wsparło pożyczkami na ten straszny czas mrozu i głodu? Czyż zawsze tylko szynki i Abramki będą żywicielami naszego ludu?

Miasto jako tako pomyślało o nędzy. Ale zabroniło nawet żebrać, a setki głodnych i nędznych wloką się pukając do drzwi, prosząc o to, aby kupować od nich to, co jeszcze im resztką z lata zostało.

Miłosierdzie — najsłodsza z cnót chrześciańskich — czyż nie poda pracy nędzarzom?...

Zima ciężka i długa. Ostatki węgla wypalają się — resztki zniszczonego obuwia opadają — dzień za dniem wlecze się powoli — a — powiadają, że »Daszyński tylko poratuje«. I najubożsi — czekają lepszych czasów u drzwi — »Naprzodu...«

Są komitety w czasie powodzi — czy w czasie mrozów palących — nie trzeba chleba i węgla?...

Bogusław.

Świat kulis posiada jakiś magnetyczny wpływ na serca i umysły zwykłych zjadaczy chleba.

Pociąg do badania jego czarów objawia się w najprzeróżniejszych porach życia, lecz uświadomianie się tego popędu zwykło przychodzić nie wcześniej, jak między 15. a 18. laty. Bezpośrednim motorem, który wydobywa z agłębi duszy młodzieńczej te uśpione skłonności artystyczne bywa sztuka lub... aktorka. Romantycznie usposobione niedorostki illo tempore oddawały pokorne hołdy pierwszej; dzisiejsza młodzież, nietyle romantyczna, ile romansowa, zamieniła kult bóstwa na czczenie kapłanek. Tempora mutantur. Dość rozejrzeć się po widowni teatralnej.

Ilekroć, siedząc w teatrze, widzę tych wyelegantowanych smyków w obcisłych mundurkach, których złote galony podchodzą aż do uszu, w białych rękawiczkach i symetrycznie zaprasowanych niewypowiedzialnościach, jak rozwaleni niedbale w krześle, obrzucają aktorki cynicznym wzrokiem zaprzysiężonych taksatorów piękności kobiecej, mam zawsze chętkę zmącenia im zabawy, pytając: A co tam z jutrzejszą preparacyą, mój kawalerze? Co porabia nasz wspólny przyjaciel Homer i poczciwa ciotunia, fizyka?

Nie jestem bynajmniej zwolennikiem pruderyi, gdyż ta albo jest obłudą, albo też do niej prowadzi, lecz na wyżej opisany widok doznaję głębokiego żalu, pomięszanego z obrzydzeniem.

Ci młodzi ludzie okazują każdym gestem, każdem skrzywieniem twarzy lub dowcipnem mrugnięciem, że w ich duszy nie ma już miejsca dla »dziecinnych mrzonek« recte głupich fantazyj na temat sztuki dramatycznej, tej sztuki, która bezpośredniością swoją zwykła na młodych umysłach tak olbrzymie wywierać wrażenie. Teatr dla nich jest budynkiem z cegieł, gdzie za pieniądze można widzieć kobiety na scenie i w widowni, oraz sprezentować najnowszy mundurek i eleganckie lakierki. Na ich twarzy nie widać ani cienia jakiegokolwiek przejęcia się sztuką lub grą artystów; tam, gdzie poprzednicy ich na ławach gimnazyalnych, widywali Amelię, Ofelię lub Violę, oni spostrzegają tylko wydekoltowane, lub po męsku ubrane kobiety; przesyt i nuda w połączeniu z chęcią zwrócenia na siebie uwagi widnieją z każdego gestu, z każdego przegięcia się tych eleganckich postaci z lornetką w ręku, a stereotypowym, zblazowanym uśmieszkiem na ustach.

Jeżeli obrazek, naszkicowany powyżej, wyda się komu przesadzonym, niech go sam zechce sprawdzić na pierwszem lepszem przedstawieniu w teatrze miejskim. Obfitszy lub mniej bogaty plon spostrzeżeń zawisł od tego, na jaką sztukę się natrafi. Masowe obserwacye najlepiej czynić podczas »Kolacyjki« lub »Damy od Maksyma...«

Nie chcę bynajmniej twierdzić, aby te bezmyślne laleczki miały stanowić typ dla ogółu młodzieży szkół średnich; przeciwnie są one na szczęście w mniejszości, ale sam fakt ich istnienia jest równie smutny, jak i niezaprzeczalny.

Pertinax.

»Nawojka«.

Sympatyczny poeta — dziennikarz p. Stanisław Rossowski wystawił w teatrze lwowskim sztukę pod powyższym tytułem.

Jest to „komedya historyczna“, osnuta na tle życia żaków krakowskich z połowy XV. stulecia.

Opat wiedeński, Marcin, wspomina w swych zapisach, podanych nam przez Szajnochę, o mężnej dziewczynie, imieniem Nawojka, która, wie-

dziona chęcią nauk, zakradła się pomiędzy szkolarze akademii krakowskiej i, przybrawszy strój męzki, poczęła czerpać u źródła wiedzy.

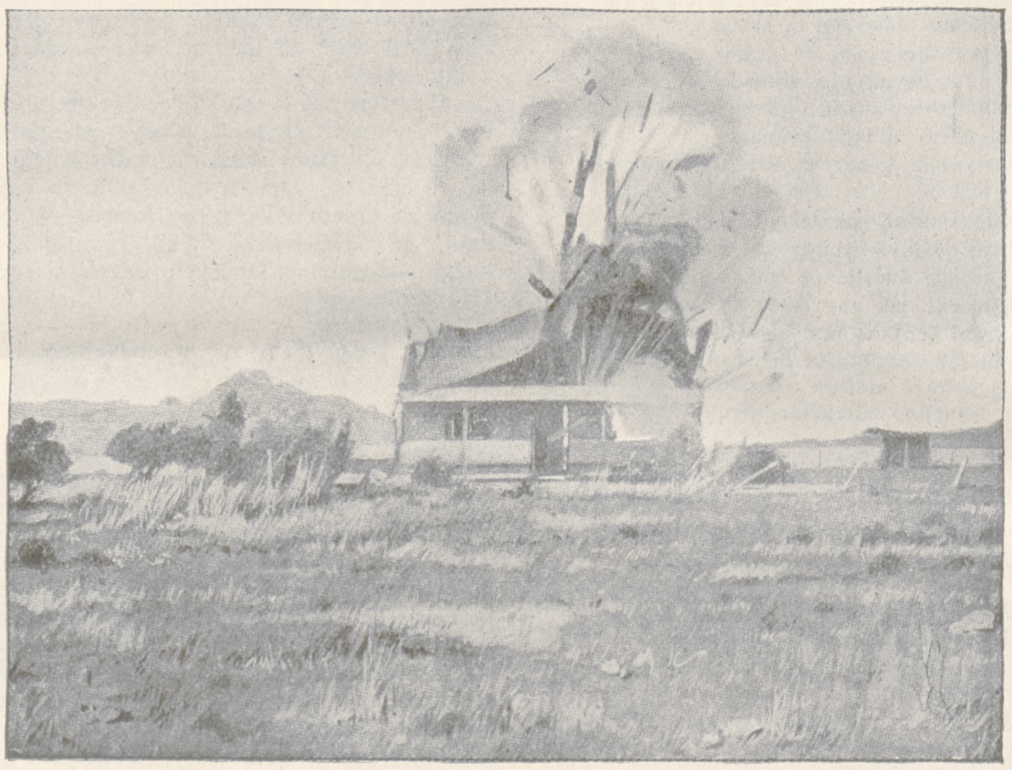
Niestety, odważnej panience nie długo było danem cieszyć się z udanego podstępu. Pewien rycerz, powziąwszy podejrzenie co do jej płci, założył się ze swymi towarzyszami, że obserwowany przezeń żak, jest kobietą i — zakład wygrał. Nawojkę uratowała tylko śmiałość i prostota, z jaką, zapytana przez trybunał duchowny o przyczynę, dla której ukrywała płeć swoją, odrzekła poprostu: *amore studii* — z miłości do nauk! Surowość sędziów złagodniała w obec takiego zapału i pożądania wiedzy: śmiałą dziewczynę oddano do klasztoru, gdzie wkrótce została ksienią.

Z tą historyjką łączy się druga, mająca za przedmiot powstanie t. zw. „modlitewnika Nawojki“.

Ów modlitewnik został wydany przez prof. gimnazyum poznańskiego p. Mottyego, z rękopisu, napisanego w w. XV. Powtarza się w nim kilkakrotnie imię Nawojki, więc Makowski przypisał jej autorstwo modlitewnika, którego właścicielką była ongi, jak twierdził Motty, Jadwiga, ks. szląska. Zdaniem Małkowskiego, Nawojka pochodziła ze szlacheckiej rodziny Toporów i, splamiwszy cześć swego rodu, pokutowała za to w klasztorze Dominikanek, gdzie też powstać miał ów modlitewnik.

Rymarkiewicz połączył historyjkę, podaną przez opata Marcina z wersyą Małkowskiego i dodał nadto od siebie, że będącą w mowie książeczkę do nabożeństwa przepisał ktoś dla Jadwigi, córki Władysława IV. i Anny Cylejskiej.

Z wojny w południowej Afryce.



Anglicy wysadzają dynamitem farmę boerską.

P. Rossowski, pociągnięty barwnem tłem epoki, obrał sobie dzieje Nawojki za temat do scenicznego opracowania i, uzupełniwszy fantazyą niektóre szczegóły, stworzył sztukę treści następującej:

Z pośród gromady żaków krakowskich dwóch wyróżnia się ponad innych: Zych i Derszko. Pierwszy jest piękny, wielce utalentowany, marzyciel i — rzecz rzadka w owych czasach — trwożliwy względem płci pięknej. Drugi posiada niemałą fantazyę, porywczość i rycerski animusz, obaj zaś są szczerymi przyjaciółmi.

Podczas jednej z częstych bójek żaków, z niemieckimi mieszczanami Krakowa, dostają się Zych i Derszko do niewoli i trzymani są w piwnicy nienawidzącego żaków oberżysty, Kampla. Z przykrego położenia usiłuje ich wyswobodzić nadobna córka oberżysty, Eliszka, dając Derszkowi przebranie swojego ojca, a Zychowi swoje. Ale plan zostaje udaremniony przez wejście do podziemia Kampla i wójta, przyczem także wychodzi na jaw, że mniemany żak, Zych, jest dziewczyną. „Zyszycę“, kochającą się potajemnie w Derszku, osadzają w klasztorze, gdzie ma przebywać aż do przybycia króla Jagiełły, który ma tę zbrodnię osądzić. Przedtem wójt, który jako mieszczanin i Niemiec nienawidzi (?) żaków, podstępem usiłuje nakłonić Zycha-Hedwigę, żeby się przyznała do tego, że dla rozpusty weszła między żaki, gdyż w przeciwnym razie, jako czarownica, postawioną zostanie pod pręgierzem wraz z Derszkiem, jako wspólnikiem. Chcąc uratować kochanego Derszka, Hedwiga przyznaje się do winy przed królem, ale ten dobrze dla oskarżonych usposobiony przez rektora Wąwelnickiego, przychodzi do przekonania o niewinności obojga, a widząc wzajemny ich afekt ku sobie, skazuje ich ostatecznie na małżeństwo między sobą, przyczem jego pasuje na swojego rycerza, a jej nadaje imię Nawojki, jako, iż wyszła była „na woje“(?) z tymi, którzy jej bronili przystępu do światła nauki. Wójt zostaje zrzuconym z urzędu, a napisany przez Zycha-Hedwigę w klasztorze modlitewnik, bierze król jako prezent dla siebie.

Utwór p. Rossowskiego po za dość dźwięcznym wierszem pozostawia bardzo wiele do życzenia, zarówno pod względem rozwoju akcyi, jak i psychologicznego umotywowania figur. Nawet tło historyczne nie zostało dość ściśle zachowane przez autora; rektora nazywa się „Magnificencyą“ aczkolwiek ten tytuł jest w XV. wieku kompletnym anachronizmem, żacy, miasto udowadniać czynami swoje wielkie pragnienie wiedzy, wolą podczas wykładu spijać piwo i baraszkować z córką szynkarza, król Jagiełło, wbrew prawdzie historycznej jowialny, dobroduszny i wielce żartobliwy, używa wyrażeń wcale nie licujących ze swym charakterem i godnością królewską, a już mieszczaństwo krakowskie, które, jako wywodzące ród swój z Niemiec, miało być, zdaniem autora, nieprzychylne usposobione dla Polaków i dla Akademii jest, jako takie urojeniem, powstałem w jego fantazyi.

Wiele innych drobnych uchybień przeciw charakterowi epoki zamąca jeszcze ten, dość zresztą sympatyczny, utwór. Trudno żądać od poety, aby ze ścisłością archeologa odtwarzał czasy, w których się dzieje sztuka przezeń napisana, zachowanie wszakże pewnej miary w dowolnych przeróbkach prawdy historycznej, jest rzeczą niezbędną. Nie chcemy zresztą rozwodzić się szerzej nad zaletami i wadami utworu p. Rossowskiego, gdyż, jak donoszą pisma codzienne, Kraków pozna wkrótce ze sceny „Nawojkę“, zakupioną już dla naszego teatru miejskiego. Wtedy będzie pora zastanowić się szerzej nad tem, bądź co bądź dość sympatycznem dziełem utalentowanego poety.

Z wojny chińskiej.



Oddział wojsk mocarstwowych przy obiedzie.

ORDER

przez

ANTONIEGO CZECHOWA.

Lew Nikołaicz Pustiakow, nauczyciel, wpadł w dniu Nowego Roku, rankiem, do swego przyjaciela, porucznika Ledencowa.

Z państwa „bojaźni bożej i dobrych obyczajów“.



Schwytanie eleganckiej złodziejki w jednym z berlińskich magazynów.

— Słuchaj no, Grysza — zaczął, po wygłoszeniu zwykłych noworocznych życzeń — mam do ciebie prośbę. Nie byłbym tak natrętnym gdyby nie rzeczywista potrzeba... Pożycz mi na dzisiaj swojego orderu św. Stanisława. Jestem zaproszony na obiad do kapitana Spiczkina. Znasz przecie tego łajdaka: dla niego order, to coś niesłychanie ważnego. Człowiek, któremu nie fruwa taki ptaszek, w kształcie krzyżyka lub gwiazdy, pod szyją, albo na piersiach, jest dlań zerem. Nie zajmowałbym się też jego osobą, ale widzisz, on ma dwie córeczki... wiesz, Wierę i Jewpraksję... Już więcej nic ci nie potrzebuję mówić... ty mnie i tak zrozumiesz mój drogi... Daj mi order, daj, nie odmawiaj, proszę!

Mówiąc to Pustiakow jąkał się, czerwienił i nieśmiało spoglądał ku drzwiom. Porucznik naklął go porządnie, zwymyślał co się wlazło, lecz nakoniec wyciągnął order ze szafy.

O drugiej po południu, Pustiakow siedział w sankach i jechał do Spiczkina. Ukradkiem odchylał od czasu do czasu futro, zerkając na lewą klapę munduru, gdzie błyszczał i skrzył się — cudzy Stanisław.

— Mój Boże! — pomyślał sobie nauczyciel, ucierając nos — zaraz ma się więcej respektu przed samym sobą. Właściwie, taki order jest przecie niczem; nie kosztuje więcej jak pięć rubli, a przecież jak zmienia całego człowieka!

Zajechawszy przed dom Spiczkinów rozpiął futro i zwolna począł płacić za dorożkę. Zdawało mu się, że izwoszczyk, zobaczywszy jego akselbanty, guziki i order, skamieniał z bojaźni i uszanowania. Pustiakow chrząknął i pełen zadowolenia wszedł do domu.

Zdejmując w przedpokoju futro, spojrzał przez drzwi do sali jadalnej; przy długim stole siedziało jakie piętnaście osób zajętych jedzeniem. Słychać było rozmowę, pomięszaną z brzęczeniem talerzy i widelców.

— Kto to dzwonił? — dał się słyszeć głos gospodarza domu — aaaach, Lew Nikołaicz! Jak się pan miewa! Spóźniłeś się pan nieco, lecz to nic nie szkodzi... Dopiero co usiedliśmy do stołu.

Pustiakow wystawił pierś naprzód, zadarł głowy i, zacierając ręce, wszedł do pokoju.

Ale tutaj zobaczył coś strasznego.

Przy stole, koło Jewpraksji siedział kolega jego, profesor francuszczyzny, Tremblant. Pokazać mu się z orderem, znaczyłoby to samo, co wywołać masę nieprzyjemnych pytań, zblamować się raz na zawsze i zniesławić swoje dobre imię... Zrazu Pustiakow myślał o zdarciu orderu, lub też o ucieczce, lecz order był mocno przyszyty, o odwrocie zaś nie mogło być mowy.

Zakrywszy order prawą ręką, nauczyciel ukłonił się niezgrabnie na wszystkie strony i, nie podając nikomu ręki, padł ociężale na jakiś wolny stołek, znajdujący się właśnie vis-a-vis owego francuza.

— Prawdopodobnie urżnął się! — pomyślał Spiczkin patrząc badawczo na pomięszane oblicze gościa.

Przed Pustiakowem postawiono talerz zupy, więc chwycił lewą ręką za łyżkę. W tej samej chwili przypomniał sobie, że jedzenie lewą ręką byłoby w towarzystwie ludzi wykształconych czemś wielce niestosownem i oświadczył, że jest po obiedzie.

— Dziękuję serdecznie, nie jestem głodny — mruknął. — Byłem właśnie u mego wuja, sztabskapitana Jelejewa, zapraszał mnie tak natarczywie że wreszcie... zjadłem u niego obiad.

Dusza jego przepełniała się smutkiem i złością zarazem: zupa wydawała miły zapach, a już szczupak z jajami pachniał wprost kusząco. Nauczyciel sprobował, czyby nie można spuścić prawej ręki, a order zakryć lewą, lecz ta manipulacya okazała się niewłaściwą i niewygodną.

— Zaraz spostrzegą... Mój Boże! Żeby ten obiad raz się już skończył! Będę musiał pójść potem do restauracyi!

Po trzeciem daniu spojrzał ukradkiem na francuza siedzącego naprzeciwko. Tremblant również patrzył na niego i także nic nie jadł. Zdawał się być czemś mocno zmięszany. Gdy oczy ich się spotkały, zakłopotanie obu znacznie się wzmogło i obaj spuścili wzrok na dół, gdzie bielały puste talerze.

— Spostrzegł! Łajdak! — pomyślał Pustiakow. — Widać mu to z gęby, że spostrzegł!

Z wojny w południowej Afryce.



Bunt wojsk indyjskich na wyspie św. Heleny.

A to pies! A to intrygant! Jutro doniesie dyrektorowi!

Obnoszono właśnie czwartą potrawę. Jakiś wysoki jegomość, z potężną łysiną i mrugającemi oczkami, podniósł się i rzekł:

— Eeee... te... hm, hm... proponuje... eee... te... aby wypić za zdrowie pań tu obecnych.

Goście powstali odsuwając stołki z wielkiem hałasem. Donośne „hurra!“ zagrzmiało po sali. Damy poczęły się uśmiechać i stawały na palcach, by módz się trącić kieliszkiem z mężczyznami. ‚Pustiakow powstał i ujął lewą ręką kieliszek.

— Lew Nikołaicz — zwrócił się ktoś do niego — bądź pan tak łaskaw podać ten kieliszek Wierze Timofiewnie. Ale musisz pan także uważać, by go wypiła!



Max Pettenkofer.
słynny chemik i bakteryolog † 10. II. 1901.

Teraz musiał już Pustiakow, ku najwyższemu swemu przerażeniu, zdjąć rękę z piersi. „Stanisław“ na pomiętej czerwonej wstążeczce wyjrzał nareście na świat i zabłyszczał. Nauczyciel zbladł, pochylił głowę i zerknął trwożnie ku francuzowi. Ten, zrazu patrzał nań pytającym zdziwionym wzrokiem, potem na ustach jego ukazał się uśmiech, a pomięszanie zaczęło ustępować mu z twarzy...

— Jules Augustowicz! — zwrócił się w tejże chwili gospodarz do francuza. — Czy chcesz pan, aby pańska sąsiadka zginęła z pragnienia?

Tremblant wyciągnął, wahając się, rękę do butelki i..... o radości! Pustiakow spostrzegł na piersi jego gwiazdę. Nie był to wszakże skromny Stanisław, lecz prawdziwy order św. Anny.... Więc Tremblant wpadł na ten sam pomysł.

— A... a... a... hm, hm! — zaryczał Spiczkin, spostrzegając ordery na piersiach obu swoich gości.

— Tak, tak — rzekł Pustiakow — to rzecz ciekawa, prawda, Jules Augustowiczu? Jak małą mieliśmy nadzieję przed świętami! Tylu się ubiegało, a tu ze wszystkich zaledwie pan i ja!... Ciekawa rzecz!

Tremblant wesoło kiwnął głową, wysuwając naprzód lewą połowę munduru, na której paradował order św. Anny III klasy.

Po obiedzie, Pustiakow spacerował po wszystkich pokojach, aby damy mogły podziwiać jego order. Na sercu było mu lekko i wesoło, aczkolwiek czuł silny głód.

— Gdybym to był przeczuł — pomyślał sobie, rzucając zawistnym wzrokiem na Tremblanta, który rozmawiał ze Spiczkinem na cały głos o orderach — gdybym to był przeczuł, byłbym sobie przyczepił choćby św. Włodzimierza! Szkoda...

„Rigoletto“.

Z historyi premiery.

Wielki mistrz zakonu kompozytorów współczesnych, Giuseppe Verdi, zakończył przed niedawnym czasem żywot doczesny, aby rozpocząć wieczne życie w pamięci muzykalnej ludzkości.

Od śmierci genialnego twórcy tylu arcydzieł nie upłynęło jeszcze miesiąca, a już pajęcza sieć legendy poczyna osnuwać jego postać, mnożą się anegdoty, mające za przedmiot życie i twórczość Verdiego, a lud włoski powtarza je sobie z ust do ust, kończąc sakramentalnem: *Che peccato! Il gran vecchio è morto!* (Co za szkoda! Wielki starzec już umarł!)

Zanim dodatki, wyrosłe w bujnej fantazyi opowiadaczy, zmienią do niepoznania prawdziwą treść wielu ciekawych perypetyj z życia mistrza, posłużmy się z zacytowaniem jednej, której prawdziwość nie może być kwestyonowaną. Jest to historya olbrzymiego powodzenia, jakiem cieszył się „Rigoletto“, jedna z najpiękniejszych oper Verdiego, przy pierwszem swojem wystawieniu.

Było to w r. 1851. Impreza teatru Fenice w Wenecyi, otrzymała była właśnie od Verdiego, kompletną partyturę „Rigoletta“. Nie znano wówczas jeszcze płatnych reklamiarzy — reporterów, a barnumowska blaga Leoncavallów i Mascagnich, była terra incognita dla włoskich kompozytorów, nic więc dziwnego, że ukazanie się „Rigoletta“, nie poprzedziły jarmaczne wrzaski gazet. Publiczności nie było nawet wiadomem, jaką jest osnowa libretta i które ustępy muzyki mogą liczyć na powodzenie. Pierwszy spektakl rozstrzygał o sukcesie opery. Jeżeli gorący naród włoski, zasypał „maëstra“ i śpiewaków kwiatami — opera mogła liczyć na długi żywot; jeżeli na scenę padały miast bukietów — skórki cytryn i zgniłe jaja, nie pomogłyby żadne krzyki sługębnej reklamy; „fiasco“ było nieuniknione.

Verdie kierował próbami osobiście, ucząc śpiewaków i orkiestrę tak, jak on to umiał. Wszyscy byli też ogromnie zadowoleni, z wyjątkiem tenora Mirate, który, ciesząc się zresztą z przepysznej partyi księcia Mantuy, uważał, iż zdałby się mu jakiś ustęp solowy, do tem lepszego wykazania siły i dźwięku swego organu. Nieraz też prosił Verdiego, o jakąś aryjkę na ostatni akt, twierdząc, że w przeciwnym razie „zwróci partyę“. Poczciwy Mirate był bowiem wielce miłym człowiekiem, świetnym tenorem, ale zarozumiałość jego i próżność przechodziła wszelkie granice.

Wreszcie w przeddzień generalnej próby — cierpliwość tenora wyczerpała się już do dna.

— Maëstro!! — ryknął *con tutta la forza* — cóż to znowu? Od tygodnia żebrzę o jakieś parę taktów, o głupstewko muzyczne, o cokolwiek, w czem by głos mój mógł się należycie rozwinąć, a ty milczysz i milczysz! Skoro tak — zemszczę się. Nie śpiewam jutro.

— Cicho, cicho krzykaczu! Masz tu swoje „głupstewko“ i uspokój się! — odpowiedział Verdi, wyciągając z kieszeni pakiecik, opakowany szczelnie i związany sznurkiem. Na widok papieru nutowego, Mirate rzucił się jak lew zgłodniały ku kompozytorowi, lecz ten schował rękę z manuskryptem za plecy mówiąc:

— Nasamprzód jednak musisz mi dać słowo że to, co obecnie ci daję, otworzysz dopiero w domu, przejrzysz uważnie i nauczysz się, mrucząc po cichu, przy zamkniętych drzwiach i oknach. Niech przed wczorajszym wieczorem nikt nie usłyszy ani jednej nutki, z tego utworu! Pamiętaj sobie o tem i nie zanuć gdzie jakiego ustępu w gondoli, albo przy bilardzie, bo wtedy możesz pożegnać się z efektem!

Mirate, klnąc się na wszyskie piekła, że będzie milczał, jak pień, chwycił łapczywie za manuskrypt i podążył do domu.

Na drugi dzień z rana, chodził wielkiemi krokami po sali prób i, rozpromieniony, gwizdał przezęby słynne: La donna è mobile! Było to właśnie, owe „głupstewko“ skomponowane dlań przez Verdiego.

Powodzenie „Rigoletta“ w ogóle, a aryi „la donna è mobile“ w szczególności, urąga wszelkiemu opisowi. Mirate przeszedł sam siebie i musiał bisować bez końca, Verdiemu zgotowano przewspaniałą owacyę.

Do historyi pierwszego wystawienia „Rigoletta“ należy wszakże jeszcze druga perypetya, dotycząca tym razem libretta. Zapoznanie się z nią, rzuca charakterystyczne światło na stosunki panujące w Lombardyi i Wenecyi, podczas gdy il divino maëstro wylewał na papier pierwsze zdroje swych cudownych melodyj.

Każdy librecista, musiał przedkładać swoje utwory c. k. władzy cenzuralnej i to wprzódy, zanim jeden ton do nich został skomponowany. Poczciwy rząd chciał w ten sposób zapobiedz stracie czasu kompozytorów, którzy mogliby często zabrać się do tekstu, niemożliwego z cenzuralnych względów. Otóż pierwotny tekst „Rigoletta“, wzięty z dramatu Wiktora Hugo p. t. Król się bawi (Le roi s' amuse), nosił tytuł: „La Maledizione“ (Przekleństwo) i, zdaniem cesarsko-królewskiej cenzury, był wielce „staatsgefährlich“, gdyż nadworny błazen królewski Triboulet, przeklinał tam swego władcę, Franciszka I, króla Francyi, nie przebierając wcale w wyrażeniach. Przy tem już sam tytuł: „Przekleństwo“, nie nadawał się, według panów cenzorów, bynajmniej na tytuł do opery, jako zbyt ponury i budzący antypaństwowe myśli. Koniec końcem, libretto zostało odrzucone.

Piave, autor tekstu i Verdi, przyszły twórca muzyki, byli w rozpaczy, gdyż kontrakt z imprezą teatru Fenice nie tylko naglił i zmuszał mistrza do dostarczenia opery, lecz nadto groził niemałą karę konwencyonalną, w razie zerwania umowy.

Na szczęście, pewien komisarz austryackiej policyi, zapalony amator muzyki i czciciel Verdiego, zdołał załatwić pomyślnie całą aferę. Za jego radą zmieniono Franciszka I-go na jakiegoś tam nieszkodliwego księcia Mantuy, z Tribouleta zrobiono Rigoletta i, usunąwszy złowrogi dla uszu cenzury tytuł „Przekleństwo“, zastąpiono go imieniem głównej postaci w sztuce.

Cenzura, po dokonaniu tych zmian, uznała że „wszystko w porządku“, i Verdi zabrał się do komponowania arcydzieła, które, mimo tylu dziesiątków lat istnienia, entuzyazmuje zawsze słuchaczy, potęgą wyrazu i niezwykłą dramatyczną siłą.

W taki to sposób, austryackiemu komisarzowi policyi zawdzięcza świat pośrednio ukazanie się jednego z najwspanialszych dzieł w zakresie muzyki operowej.

Nasze ryciny.

Chińczykom nie przykrzą się rokowania pokojowe, urozmaicane różnymi dekretami, notami i obietnicami, które, zmieniając się co chwila, stosownie do sytuacyi, wystawiają państwa europejskie, a zwłaszcza światoburcze Niemcy na okrutne pośmiewisko. Wojska mocarstwowe to stoją w obozie (jak to widać na jednej z dzisiejszych rycin), to znów ruszają na jakieś ekspedycye w głąb Chin, a kwintessencyą tych wszystkich ruchów, marszów i rokowań jest na razie wielkie zero.

Właściciele winnic we Francyi i Włoszech od dawna już przemyśliwali nad ochroną swych posiadłości przed gradem. Niedawno temu odbył się w Pawii zjazd, na którym omawiano kwestyę dział przeciwgradowych. Około 1000 uczestników wzięło w nim udział, między innymi był tam prof. Houdaille, profesor szkoły rolniczej w Montpellier we Francyi. Z porównania rezultatów, osiągniętych dotąd za pomocą dział przeciwgradowych, okazało się że: 1⁰ jedno działo wystarcza dla ochrony 25 hektarów. 2⁰ wylot działa musi być zwrócony tam skąd nadchodzi chmura gradowa. 3⁰ Strzały mają następować po sobie do

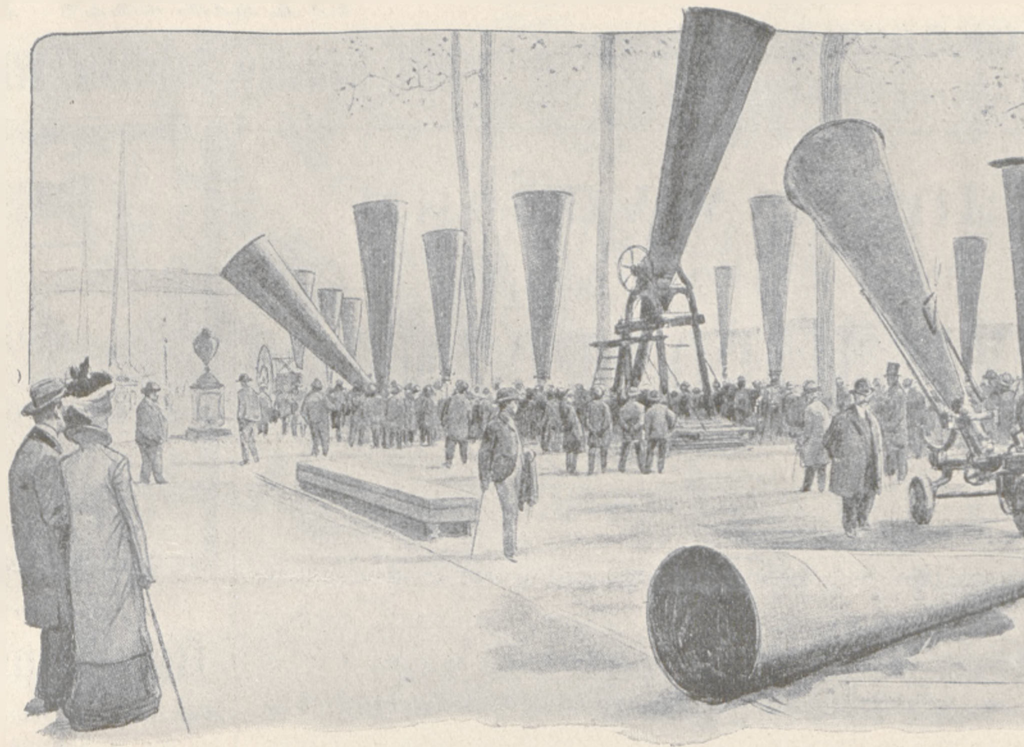
Z życia króla Milana.



Milan i jego syn, Aleksander, obecny król serbski.

szybko: zrazu strzela się 3—4 razy na minutę, potem wystarczy jeden wystrzał co 3 minuty. 4'' 80 gramów prochu stanowi normalny ładunek działa. Ze zjazdem była też połączona wystawa dział przeciwgradowych (patrz rycinę). Najbliższy kongres w tej sprawie odbędzie się w Lyonie. Niedawno sprowadzono takie działo do Krakowa, celem wypróbowania jego działalności. W lecie zaczną się pewnie próby po wsiach okolicznych.

Walka z przyrodą.



Działa przeciwgradowe.

Dwa narody, roszczące sobie pretensyę do wysokiego stopnia kultury, rywalizują teraz ze sobą na punkcie dopuszczania się niesłychanych okrucieństw podczas walki z nieprzyjacielem. Listy oficerów angielskich, donoszące o chlubnych czynach, popełnianych przez Anglików w wojnie boerskiej, mogą śmiało rywalizować z „Hunnenbriefe", nadsyłanymi przez pruskich żołdaków z Chin. Rycina nasza przedstawia właśnie, jak Anglicy, pod pozorem, że koło farmy, należącej do dowódcy Boerów, Groblera, znaleziono proch i kule zakopane w ziemi, wysadzają ją w powietrze za pomocą dynamitu. Ładna cywilizacya!

Być może, iż brak dyscypliny w wojsku angielskiem, składającem się z najemników, wpływa też ujemnie na zachowanie względów litości w wojnie z Boerami. Dowodem małej karności są częste wypadki niesubordynacyi, lub nawet otwartego buntu, zachodzące w angielskiej armii. W ostatnich czasach głośnymi się stały zaburzenia, spowodowane przez pułk zachodnio-indyjski, strzegący więźniów boerskich na wyspie św. Heleny. Rycina zamieszczona w dzisiejszym numerze, jest reprodukcyą z fotografii momentalnej i przedstawia chwilę, gdy zbuntowany pułk, wychodząc z wąskiej ulicy z krzykiem i wrzawą, spotyka na drodze piechotę angielską i działo Maxime'a wycelowane na rokoszan. Bunt został wreszcie stłumiony, lecz dopiero po straceniu przywódców.

Temi dniami odebrał sobie życie w Monachium słynny chemik Maks Pettenkofer. Światowi naukowemu ubyła z jego śmiercią bardzo wybitna siła. Głównem polem, na którem Pettenkofer pracował, była bakteryologia; zwłaszcza około zbadania zarazków cholery położył zmarły ogromne zasługi. Liczył 83 lat.

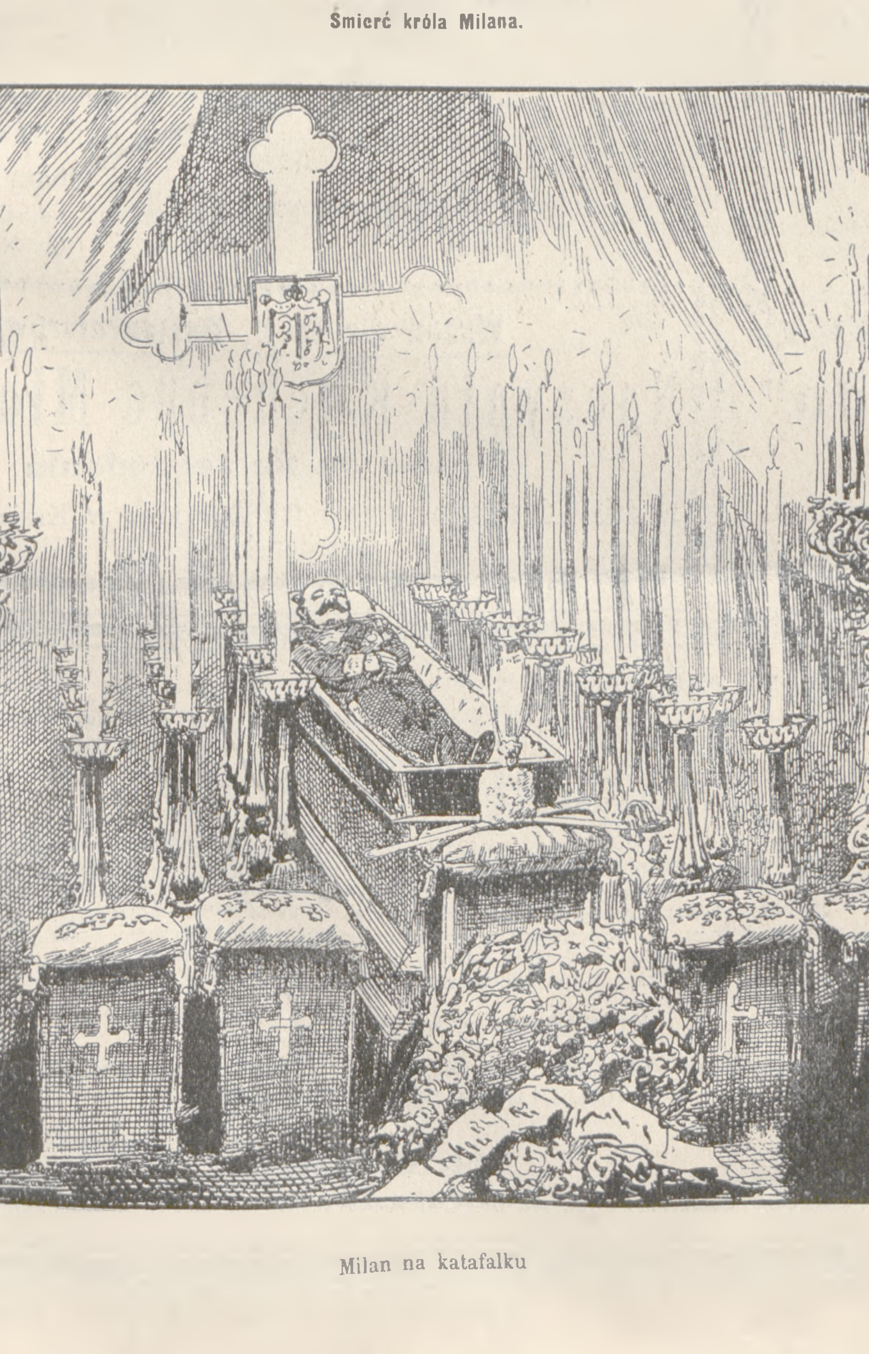
Prócz fotografii zmarłego ekskróla serbskiego, Milana, leżącego na katafalku, znajdą czytelnicy w dzisiejszym nr. rycinę, przedstawiającą go wespół z synem, obecnym królem Serbii, Aleksandrem. Było to jeszcze w czasie, kiedy stosunki pomiędzy nimi nie zaostrzyły się do tego stopnia, co w ostatnich czasach. Główną przyczyną rozterek między ojcem, a synem, stało się niefortunne małżeństwo Aleksandra z Dragą Maszin, która ze swej strony robiła wszystko, aby sprowadzić rozdwojenie. Milan, widząc nieżyczliwość syna, złożył godność głównodowodzącego serbską armią i wyjechał na stałe za granicę. Śmierć dosięgła go w Wiedniu.

Wesele pięknej Wilhelminy holenderskiej z ks. Henrykiem Meklenburg-Schwerin, odbyło się niedawno w Hadze pośród olbrzymiego entuzyazmu ludności. Związek został pobłogosławiony w Hadze w głównym kościele, przez nadwornego kaznodzieję. Po ślubie, nowożeńcy wśród burzliwych okrzyków ludu odjechali do zamku Het-Loo. Należy tu jeszcze dodać, że Holendrzy, o ile są niezmiernie przywiązani do swej nadobnej władczyni o tyle niezbyt mile witają jej małżonka. Za to prasa niemiecka widzi w nim przyszłego rozszerzyciela potęgi teutońskiej...

Państwo „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów" wysyłające swych synów po laury wojenne do Chin w imię wiary i cywilizacyi, nie grzeszy jednak wcale zbytnią cnotliwością. Chęć życia i używania, żądza zdobycia pieniędzy za każdą cenę toczy jak rak wyższe i średnie sfery pruskiej monarchii. Sceny podobne podobne do tej jaką widzimy na dzisiejszej rycinie, nie należą wcale do rzadkości wielkich berlińskich magazynach. Eleganckie damy, nie mogąc się oprzeć chęci posiadania przedmiotów, na których nabycie brak im już pieniędzy, uciekają się do kradzieży... Personal sklepowy wie o tem bardzo dobrze, to też każda klientka znajduje się ciągle pod uważnym chociaż nieznacznym nadzorem i gdy tylko dopuści się jakiej podejrzanej manipulacyi, zostaje natychmiast zdemaskowaną.

Podobny casus nie należy chyba do wielkich przyjemności, lecz mimo to szeregi eleganckich złodziejek wcale się nie przerzedzają.

Śmierć króla Milana.



Milan na katafalku

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA

LITERATURA.

* We Lwowie wyszła bardzo interesująca książka poświęcona Almae Matri Jagellonicae p. t. „Studya psychometryczne." przez Bolesława Błażka. Autor jest nauczycielem gimnazyum i praca jego jest owocem pomiarów, robionych na uczniach; są to studya oddziaływania na uczniów przy nauczaniu zbiorowem, przez czas trwania nauki ustawą przepisany. Autor ze skrzętnością notuje szereg objawów psychicznych, broniących umysł przed rutyną i rzemiosłem, jakiem nauczycielstwo prawie w całej Europie w ostatnich czasach się stało. Dla wychowawców i pedagogów, praca to pierwszorzędnego znaczenia; skreślona jasno, przejrzyście, ze skromnością i prostotą. Skład główny w Warszawie w księgarni St. Sadowskiego.

* W Warszawie ukazały się szkice i nowelki przedwcześnie zgasłego dziennikarza, Jana Barszczewskiego, p. n. „W Kastelu," wydane nader starannie z portretem autora. Jest to zbiór wrażeń człowieka, który umiał czuć i myśleć szlachetnie. Tytułowy szkic wzięty jest z życia internowanych w Tryjeście w roku 1833, a skreślony żywo i z pewnym humorem. W „dwóch ideałach Szopena" spotykamy się ze śpiewaczką Gładkowską i panną Maryą Wodzińską; w *Filistrach* szuka autor ratunku na chorobę — filisteryi w umiłowaniu wiary. Zasługują również na wzmiankę szkice z wycieczki do Madrytu i Lizbony, odbytej w r. 1898, oraz ładna nowelka: *Bryła*, ze świata szkolnego, oparta na motywie psychologicznym.

Listy z linii „A-B".

XIV.

Skończono wreszcie zabawy i bale,
Wszystkie krakowskie tancbudy zamknięto,
Czas sypać popiół i piać gorżkie żale,
Rozpamiętując żałobne „memento".
Lecz dozna dusza wierząca pocieszeń,
Że może w poście zreperuje kieszeń.
Doprawdy! może jeden nasz gród na sto
Innych się szczyci tym skarbem wolności
Jako nasz Kraków, zwany, „wolne miasto",
Co tyle wolnych duchów w murach gości!
Bo tylko proszę — niech każdy posłucha
Ile tu strawy dla wolnego ducha:
Po pierwsze, wolną jest prasa Krakowa,
(O ile na to Doliński pozwoli)
Wolność przekonań jest i wolność słowa
(Ile wbrew nie jest Daszyńskiego woli),
Jest i „Głos Wolny", którego wydawca
Dotychczas wolny — jest typem . . . .
Do tych wolności — jeśli, nota bene
Prawdziwe słuchy są, co nas dochodzą,
Będziem wnet mieli także „wolną scenę",
Pod dekadentów zwaryowanych wodzą,
Sam Przybyszewski weźmie reżyseryą
I Lutosławski myśli o tem seryo.
Tam się to z pasyą puści „dusza naga"
W głowo-zakrętny dekadencki taniec,
A Rozstrój nerwów, Idyotyzm i Blaga
Wytoczą wielkie swe działa na szaniec
Z gardeł zaś buchną zwyrodniałe piski:
„Niech żyje sztuka z piolterem i whiski"!

Amaris.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.